Cena pojedyńczego N-ru 30 gr.

Rok X. Radom, luty 1934 r. Nr. 2.

FILARETA

PISMO K. M. „FILARECJA“ GIMN. PAŃSTWOWEGO
IM. J. KOCHANOWSKIEGO w RADOMIU

DLA CIEBIE POLSKO I DLA TWOJEJ CHWAŁY!

Treść numeru:

Sztandar

Sztandar szkolny wyszedł ze sztandarów organizacyj kościelnych, cechowych i wojskowych. Jest symbolem, plastycznym obrazem celów i wyników pracy szkolnej, dowodem jej zasług. Wartoby zastanowić się, skąd wzięła szkoła polska ten sztandar, jak on powstał i doszedł do tak wysokiego, symbolicznego znaczenia.

— — — — — — — — — — — — — —

Spójrzmy na starożytnych Rzymian, których kultura rozprzestrzeniła się na całą zachodnią Europę. Sztandaru używano tam wyłącznie jako znaku wojennego (Livius) — „signum“. Co do pochodzenia sztandaru niema naturalnie ścisłych wiadomości. Możemy jednak wysuwać hipotezy, niejako prawie pewniki, gdyż oparte na znanych już wiadomościach. pierwsza — sztandary rozwinęły się ze swego pierwowzoru : żerdzi, którą chorążowie wskazywali dalekim od czoła szeregom żołnierzy kierunek marszu, sygnału wojennego, za tem przemawia kształt dawnych „signa” rzymskich ręka na żerdzi (manus) — sztandar manipułu.

Druga hipoteza: Sztandar pierwotnie prócz kształtu, o jakim już wyżej wspominałem miał i inne formy: na końcu żerdzi znajdowały się posążki zwierząt, ptaków, a niekiedy i bożków. Tu, mam wrażenie, posążki te i wizerunki miały bądźto dodawać żołnierzom otuchy przez swą bezpośrednią

obecność, bądź były oznakami przynależności plemiennej oddziału, bądź, nakoniec, były zewnętrzną, plastyczną oznaką cnót wojennych żołnierzy. Twierdzenie to możemy wypowiedzieć na podstawie znajomości upodobań starożytnych: Wschód starożytny potrafił przez postacie zwierząt obrazować siłę, męstwo, czy inne, w ówczesnem pojęciu, zalety człowieka (posąg Semiramidy, rzeźby asyryjskie). Obecność sztandaru w walkach, jego dawne, praktyczne zastosowanie sprawiło, iż stał się on szanowanym symbolem oddziałów wojskowych, który ze czcią przechowywano (Cyc. in. Cat. IV). Widocznie, względy estetyczne skłoniły do przyozdobienia sztandarów — żerdzi w barwne kawałki sukna, zresztą żerdź z suknem łatwiej jest spostrzegalna i można na niej było umieścić numer legjonu (np. Legio XXI). Sława orłów legjonowych rzymskich uświęciła nazawsze znaczenie sztandaru. Rycerstwo średniowiecza, niejako dalszy ciąg wojskowości starożytnej, sztandary posiadało. (por. sztandary, zdobyte pod Grunwaldem). Sztandar wojskowo-narodowy w Polsce miał swego własnego protoplastę, aczkolwiek niemały wpływ wywarły nań sztandary Zachodu. Początkowemi chorągwiami były żerdzie, zaopatrzone znakiem, już to upleciónym z chróstu, jużto na wyszytym kawałku skóry. Żerdź taka ze znakiem miała zazwyczaj nazwę swoistą, najczęściej rodzaju żeńskiego, jak: Bogorja, Złotorja etc. Były one oznakami rodów (przed skonsolidowaniem się ich). a zdobiły domostwo naczelnika, stąd stały się niejako symbolem rodu. (Boniecki). Z tych to zacząteków chorągwi musiał w dalszym ciągu wyjść sztandar narodowy—symbol istnienia i jedności narodu (początkowo chorągiew ziemi krakowskiej).

W procesji żałobnej za trumną ostatniego z Piastów idzie rycerz z chorągwią narodową. (Janko z Czarnkowa). W roku 1410 po bitwie pod Grunwaldem nadano miano Chorążyca rodowi polskiemu. (Niesiecki). Chorągiew nabiera znaczenia. W wojsku daje nazwę oddziałowi wojskowemu. (Gen. Góski o jeździe polskiej). Oddziały, wystawiane przez magnatów lub króla, noszą proporce z godłem „właściciela“ oddziału. (Muz. Nar. w Warsz. proporzec oddz. Władysł. IV). Liczba chorągwi wojskowych wzrasta wciąż. Obok wojska sztandar przyjmują cechy około XV wieku, uniwersytety około XVII wieku i kongregacje kościelne. Po roku 1772 powstaje polska szkoła świecka i zastaje sztandar o wielkiem już symbolicznem znaczeniu.

— — — — — — — — — — — — — —

Jeśli chodzi o radomskie gimnazjum ks. pijarów, to najprawdopodobniej sztandaru nie przyjęło, gdyż akta szkoły tego nie potwierdzają, a w obszernym wierszu powitalnym na cześć St. Augusta motyw sztandaru nie został wyzyskany.

J. Gliksman, kl. VII.

Nasz sztandar...!

Z nad naszych pól i kwietnych łąk
Złociste słońce wschodzi —
Z niewoli ludu i jego mąk
Nowa się siła w nas budzi.

Z nad naszych pól i kwietnych łąk
Do lotu skrzydła rozpostarł srebrne
Nasz biały orzeł, co na wieki
Dał Polsce serce swoje wierne.

Nie dałeś zakuc się w kajdany,
Od tylu wieków wciąż ścigany
Zerwałeś kajdan swych ogniwa!
I widzę jeszcze krwawe blizny,
Coś zdobył w walce dla Ojczyzny!

Dziś rozwinąłeś sztandar swój
Nad serc oddanych rzeszę.
Więc stoim dumnie, kraju mój,
Na zew twój każdy śpiesząc!

Z nad naszych pól i kwietnych łak
Słońce złociste już wzeszło...
Z niewoli ludu i jego mąk,
Dla nas dziś święto nadeszło.

Orlęciem białym chciałbym byc,
Bym mógł do nieba wzbić się bram,
Złożyć swe serce u Bożych stóp,
Za tyle łaski danej nam,
Za tyle szczęścia i radości,
Za jasne złote dni wolności!

Dziś pod sztandarem Twoim, Polsko,
Stanęła karnie młoda świta,
A w naszych duszach jedna myśl wyryta,
By wiecznie żyła nam Rzeczpospolita!!

Janusz Lipski, kl. V.

Symboliczne znaczenie sztandaru

Każda poważniejsza organizacja odczuwa potrzebę sztandaru.

Sztandar jest dumą organizacji. Jest świadectwem wspólnych wysiłków, gdyż sztandar jest kupiony za składki wszystkich członków.

Bez sztandaru czują się mniej silni i mniej jednolici.

Czemże jest ten sztandar?

Sztandar posiadają organizacje, które postawiły przed sobą jakieś zadanie poważne, jakiś cel, jakiś ideał. Organizacje, które są zawiązane dla celów nieszlachetnych, dla celów czysto egoistycznych, sztandaru nie posiadają. Wypływa z tego wniosek, że sztandar jest symbolem ideału, który przyświeca organizacji.

Tak, jak różne organizacje mają różne ideały, tak sztandary tych organizacyj mają różne znaczenia.

Sztandar szkolny, nasz sztandar, jest symbolem pracy nad sobą. Niech sztandar ten przypomina nam o potrzebie usilnej pracy nad sobą samym. Sztandar młodzieży szkolnej jest symbolem chwały tych, którzy przechodzą szkołę o własnych siłach, bez książek, częstokroć głodni i obdarci.

Sztandar organizacji robotniczej jest widomym znakiem robotniczej solidarności, znakiem dążności do polepszenia doli robotniczej, symbolem pracy.

Na sztandar ten członkowie organizacji składają się nieraz kilka lat, poświęcając grosze, zapracowane w pocie czoła. Dlatego sztandar robotniczy śmiało nazwać można krwawym robotniczym potem.

Sztandar pułku jest symbolem honoru żołnierskiego, symbolem obowiązkowości i miłości ojczyzny. Jak dla ocalenia honoru, tak i dla ocalenia sztandaru żołnierz jest gotów poświęcić życie.

Sztandar żołnierski jest symbolem życia żołnierskiego. W czasie pokoju raduje on serca ludzi swym wyglądem. W czasie wojny staje się sztandar podobny do żołnierza. Jest wtedy, tak jak i żołnierz, pokryty kurzem, tak jak żołnierza szarpią go kule. Jest wtedy często tylko wypłowiałym i przesiąkniętym dymem strzępem.

Wtedy sztandar żołnierski jest symbolem śmierdzących, poodparzanych w długich marszach, poodmrażanych i zreumatyzowanych w okopach nóg żołnierskich, symbolem poświęcenia, krwi i śmierci.

Organizacją, która wiąże nas wszystkich, jest Polska. I Ona ma swój sztandar. Barwy jego biała i czerwona, mówią wiele. Barwa biała mówi naszym przyjaciołom, że w sercu Polaka niema zdrady. Barwa czerwona, to krew.

Tadeusz Wiksne, kl. VII.

Henrykowi Sienkiewiczowi

Gdy wielki naród jęczał w haniebnej niewoli,
Gdy zwątpienie, niewiara, serca oziębiały,
Ty chcąc, aby zapragnął dawnej świetnej doli,
Pokazałeś czarowną wizję przeszłej chwały.

Postacie Twych powieści zawsze wśród nas żyją,
Wciąż Zagłoba nas bawi swemi konceptami,
Gdy Kmicic lont podpala, mocno serca biją,
Albo gdy „mały rycerz” ściera się z Turkami.

Pół wieku dzisiaj mija, gdy tysiącom wielu
Rzuciłeś szczytne hasła. Za to Polska cała
Czci Cię i wielbi, wielki przeszłości minstrelu,
Twórco „Ogniem i mieczem“, cześć Ci dziś i chwała.

K. Komła, kl. VII.

Samotność

Pytasz mnie rozedrganemi od bólu wargami: — wieszże, co znaczy samotność? Czy ja wiem? Czy mógłbym nie wiedzieć, będąc zawsze samotnym?

Samotność to nie znaczy: siedzisz sam w pokoju, niema wkoło ciebie w promieniu kilkunastu, czy kilkuset kroków żadnego człowieka, a ty się nudzisz. To nie znaczy, że przez dnie, czy tygodnie całe nikt do ciebie nie przychodzi, nikt cię nie odwiedza.

Samotność to: siedzisz wpośród wesoło bawiących się osób, w jasnem świetle gwiazd elektrycznych, a przy tobie niema twego przyjaciela. To znaczy, że odjechał, że o tobie zapomniał, że go wogóle niema. To znaczy, że skowyczysz z bólu, wspominając tajemnicę jego umiłowania. Samotność to ból nie do zniesienia, trwający wiecznie, nieopuszczający nawet we śnie, przed którym nigdzie ukryć się nie zdołasz. Samotność to mimowolne, a zżerające duszę czuwanie ciemnym, dżdżystym wieczorem, kiedy okienicami wiatr łomoce, na kroki, które tak dobrze znasz, których nie zapomnisz przez lata całe.

Wiesz, że nie przyjdzie napewno, a modlisz się, że jeśli się zjawi, to...

...Wiesz, że nie przyjdzie, a myślisz, czy trafi w cieniu zgaszonej latarni do zamkniętych drzwi. Wiesz, że nie przyjdzie, a myślisz, jak cię powita przyszedłszy. Wiesz, że nie przyjdzie, a serce ściska przypomnienie, że znów odejdzie...

Samotność — to bicie głową w zimny, twardy kant łóżka, kiedy już wszyscy śpią, kiedy on napewno śpi, kiedy ty spać

powinieneś. To płacz, którego nikt i nigdy nie usłyszy, od którego stopiłyby się we łzach i bólu oczy najgorszego wroga twojego.

To dźwięk skrzypiec, które najsmutniejszym tonem mówią, że jesteś sam, że przyjaciel odszedł, że będziesz się gryzł nocami dżdżystemi, słonecznemi dniami, wichrową jesienią i niewiadomą dla ciebie wiosną. Czemżeż dla ciebie w samotności jest cud życia i wspaniałość dnia?

Oto idziesz wśród zeschłych, jesiennych liści, a nie wiesz, czy słońce złocone zagląda ci w oczy, czy deszcz zimnemi kroplami zamraża twój ból, aby wiecznie ostrą krą lodu tkwił w duszy, aby nie dał ci się uśmiechnąć, nie dał zapomnieć...

I nie wiesz, czy otulony jesiennemi dymami idziesz po wrzosowisku cichem, czy wśród kurzu ulicy i w zdygotanych wiecznym stukotem kamieni stąpasz na lekcje, z których żyjesz, ale tylko poto, aby się dłużej męczyć...

Oto idziesz, brodząc w śniegu srebrno-białym, który swej pory nie zapomni nigdy, a nie wiesz, czy masz na sobie płaszcz wiosenny, czy grube zimowe palto...

Każde miejsce jest ci wspomnieniem. Tu, na tej czarnej od deszczów ławce w parku siadywaliście, aby mówić głupiutkie, mszczące się krwawo słowa, że zawsze razem będziecie; tu czytywaliście piękne, kłamliwe słowa Jana-Krzysztofa o przyjacielu. A teraz... Choćbyś wypłakał oczy, choćbyś na strzępy porwał suchym, szarpiącym kaszlem płuca, choćbyś zębami dłonie porozkrwawiał—zawsze zostaniesz sam. I czemu? Czemże zasłużyłeś sobie na mękę tak wielką? Nie wiesz! Ja także nie wiem i nie dowiemy się nigdy. Niczyje okrucieństwo z okrucieństwem losu porównać się nie da.

Bo pomyśl: czy nie możnaby z duszy wyrwać tego wiecznego, bezustannego pamiętania, choćby to kosztowało cię najgorszę mękę, byleby raz, byleby nie zawsze cierpieć. Zacisnąłbyś zęby, a oczy załzawione uśmiechałyby się, że znów, za moment, za chwilę będziesz radosny, że znów odzyskasz całkowitą, nierozdzielną, niezabraną wolność. Prawda, że możnaby było?! I widząc człowieka samotnego, zrobiłbym ja tak, zrobiłbyś ty, zrobiliby wszyscy.

A zrobić tego nie chce los. I czem jest on? Nie śmiem nazwać go słowem obelżywem, bo nie istnieje dość niskie, by go określić. Nie zastanawiaj się dłużej! Widzę, że znów tęsknota wieje przez twą twarz, że w źrenicach odbija ci się zamglony uśmiech Przyjaciela, że jesteś taki biedny, bezbronny w swym bólu. I, że ci już nikt nigdy i niczem nie pomoże. I, że nikogo nigdy nie pokochasz. I, że niczyje ramię w bólu pomocnym być nie może. Bo jesteś sam, bo nie masz przy sobie Przyjaciela, który tak lekko zapomniał wszystko, który odszedł.

B. Drożdż, kl. VII.

Miłość w serwantce

Dwie stare figurynki z saskiej porcelany,
Takie śliczne i jasne, jakby lat westchnienia,
Obie są delikatne jakby z morskiej piany,
I takie przezroczyste, jak dziecka marzenia.
On ma głowę w peruczce, ukręconej w loki.
W fraczku kusym, wyciętym pewno z aksamitu.
Ona włosy uwite w przemisterne koki
I oczy ma niebieskie, jak skrawki błękitu.
On i ona oddawna już w serwantce stoją,
Wiele już żyć się składa na ich jedno życie,
W konwenansach do siebie przybliżyć się boją,
Lecz oboje są w siebie wpatrzeni w zachwycie.
On pewno menueta tańczy doskonale,
Bo ku niej się w ukłonie pochyla godności,
Ona jakby nie widzi tych ukłonów wcale,
Lecz serce z porcelany bije w niej z radości.
Ukłon ich jakby z dworu Ludwików zabrany,
Dawno się znają przecie i tyle ich łączy,
Lecz między niemi tylko myśli z porcelany
I uśmieszek rzeźbiony, który się nie kończy.
Wierni są sobie bardzo. Wiele lat minęło,
Jak już miłość gliniana razem z niemi żyje
I trwać będzie dopóty, kiedy ktoś niechcący
Oglądając ciekawie jednego nie zbije. —
I gdy porcelanowe jedno serce pęknie,
Drugie w żalu samotnej przyszłości się zlęknie,
Niewiadomo dlaczego i dla jakiej zmiany,
Stłucze się druga lalka z saskiej porcelany.

Ad. Osuchowski, kl. VIII.

Radom w Zakopanem

Zaczęło się od tego, że wszyscy jechali.

Dokoła widziałeś tajemnicze miny, zamieniane spojrzenia, uśmiechy rzucane ukradkiem, jakieś niezrozumiałe pojedyncze wyrazy czy zdania, jednem słowem, coś nie było w porządku.

Radom szykował się do świąt, które jakoś wszyscy mieli spędzić zdala od miłych radomskich wspomnień i t. d. Wszyscy jechali. Gdyś przyszedł do znajomych, to już na trzy tygodnie przed świętami widziałeś przerażonem okiem narty, dumnie sterczące w przedpokoju, a w mieszkaniu tajemnicze puszki smarów, dziwne jakoweś przyrządy, które dla twojego laikowskiego oka do niewiadomych celów służyć miały. Atmosfera była dziwnie naprężona, wielkie coś wisiało nad wszyst-

kiem, to coś kazało ci myśleć nad tem, który zakątek naszych gór zostanie uszczęśliwiony przez przyjazd kochanych Radomiaków; za jakiemi gorzystemi okolicami tęsknić będzie poczciwy Radom, jak to będzie im zazdrościł, że mu mieszkańców wydarły. Owych gór nietrudno było się domyśleć, ze względu na te narty i inne dziwne instrumenty, nawet ja już wiedziałem, że z nartami jeżdżą różni ludzie w góry, a nie do Gdyni. Było więc w Ojczyźnie dziwnie zgoła i jakoś bardzo tajemniczo. Wreszcie święta. Wziął każdy produkt swych zmagań się z losem, co w postaci kusząco różowego papieru zawierał w sobie również liczbę spóźnień i opuszczonych godzin, poszedł najpierw pochwalić się mamie, a potem wyruszył na podbój świata. Ja do ostatnich chwil nie wiedziałem, gdzie pojadę i gdzie kto z Radomiaków wyjedzie. Wreszcie dla siebie wybrałem Zakopane, ze względu na sympatję dla D-ra T. Chałubińskiego i dla gimnazjum jego imienia w Radomiu. I pojechałem. Nie wiedziałem, co będzie, ale pojechałem. Chciałem odetchnąć świeżem powietrzem górskiem, a nadewszystko poznać nowych ludzi, między obcemi przebywać, zaczerpnąć czegoś od nich, poznać ich zwyczaje i tak wogóle odmienić swoje «milieu». Okazała przyszłość, że były to płonne marzenia. Ale ja o tem nic nie wiedziałem. Lecz o tem potem. W Krakowie ckliwo jakoś mi się zrobiło, bom był taki sam, przykro nieco, żem oderwany od radomskiej macierzy, no ale pocieszałem się, że o tych t. zw. znajomych nie trudno mi będzie w Zakopanem. Siadłem do pociągu i rozmyślałem, naraz ktoś uderzył mnie po ramieniu. Oglądam się... Radomiak.

«A serwus, i ty tutaj, a gdzie jedziesz» pytam się nieśmiało. «Ja do Zakopanego» brzmiała odpowiedź, jakbym pytał go o przynależność państwową, lub gdzie chodzi do szkoły. Kontent trochę byłem, ale za chwilę oniemiałem na powiedzenie mojego kolegi: «Wiesz, tu właściwie to jeszcze trzy przedziały są naszych». „Gdzie?" pytam «W pociągu» mówi mój towarzysz z taką miną jakby chciał mnie wziąć za pale. „A gdzie oni jadą". pytam dalej. Tu wyczerpała się cierpliwość kolegi. «Czy nie wiesz, że do Zakopanego, gamoniu jeden, że na narty...!!" Nie wiedziałem jeszcze, kto jedzie, ale milczałem chwilę przytłoczony pytaniem, dlaczego tak dużo ludzi musi jechać tam, gdzie i ja, i mieć mój pomysł. poza tem truchlałem, na myśl, że ci nasi. to może Radomiacy. Wkońcu spytałem cichutko. «A skąd oni jadą». „Z Radomia, psiakrew" wybuchnął mój kamrat, odwrócił się ode mnie ze wzgardą i wziął się do spania, uważając to za większą przyjemność, niż rozmowa ze mną. Musiały mu się śnić zjazdy z Gubałówki, bo strasznie chrapał.

Minęliśmy już Suchą, a kiedy już było niedaleko do Chabówki, kolega mój obudził się i z zachwytem w głosie oświadczył mi, że w Zakopanem spotkamy masę towarzystwa radomskiego. Sytuacja zwolna wyjaśniała się, ale jeszcze o całej do-

niosłości secesji Radomiaków do Zakopanego pojęcia nie miałem. Koło godziny 6 wieczorem byliśmy w Zakopanem. Gdyby nie zgoła nieradomskie powietrze, gdyby nie górale w okrągłych kapelusikach na głowach, siedzący w sankach jednokonnych, gdyby nie zakopiański dworzec, pomyślałbym: «Co za dziwne rzeczy, wyjechałem z Radomia i przyjechałem po całodziennej podróży znowu do Radomia. Mam wobec tego najnowszy rekord szybkości za sobą. Dokoła świata w jednym dniu. Pobiłem Vernego. Co?"

Ale to nie był Radom, tylko zaradomione Zakopane.

Z wagonów wysypała się masa dzieci radomskich, a druga gromada, kilka razy większa, witała przybywających ziomków głośnemi, niecenzuralnemi nieraz okrzykami.

Wszystko było w porządku.

No, tośmy w ojczyźnie, myślałem w duchu i dyskretnie wycofawszy się, pojechałem do znajomego pensjonatu. W drodze kłaniałem się jak na Lubelskiej, na palcach można było wyliczyć nieznajome twarze. Ulokowawszy się, przepędziłem noc na snach o Radomiu, kolegach, szkole i innych przyjemnościach, budziłem się w nocy ze strachu, bo mi się zdawało, że jestem redaktorem «Filarety» i mam to pismo wydawać na Krupówkach, gdzie jest drukarnia sejmikowa. Wreszcie noc przeszła. Obudziłem się rad z życia, wypoczęty, do śmiałych czynów gotowy. Postanowiłem pójść na Halę Kondratową i tam w gwarze i ruchu góralskiego schroniska nowych znajomych poszukać. Szalałem z radości, patrząc na góry, ubrane w śnieżne, niby niedzielno-odświętne koszule, góry mieniące się stubarwnemi blaskami słońca, dumne ze swej potęgi i krasy. Droga była piękna, wesoła, pełna radosnego uroku zimowego dnia w słońcu, w górach.

W schronisku na Kondratowej siedział sobie jakiś starszy pan samotnie i na uboczu, poczułem doń sympatję, więc nawiązaliśmy rozmowę. Mówiliśmy najprzód o pogodzie, o tem, że jest ślicznie i wesoło, potem o Zakopanem, o Dąbrowskim i Makuszyńskim, o polityce, wreszcie starszy pan rzucił we mnie pytanie, nerwowo drgając wargami i patrząc ponuro w ziemię: «A pan skąd pochodzi»? «Ja z Radomia» odpowiedziałem z godnością. Tu stała się rzecz nieprzewidziana i straszna. Poważny, starszy pan z taką dobrą poczciwą twarzą, począł się trząść ze śmiechu, potem spojrzał na mnie groźnie, wreszcie wyksztusił. Czy pan kpi ze mnie, mój panie, czy co». Przerażony już miałem odpowiedzieć, że mi to w głowie nie postało, że zresztą Radom jest pięknem miastem, skąd pochodził Chałubiński, Brandt, Malczewski, gdzie jest, jak wszędzie w Polsce, dom Esterki, gdzie nawet były autobusy i prezydent miasta, że są trzy gimnazja żeńskie i cztery kina, z których są aż trzy czynne, że jest teatr, w którym jest zawsze pusto, kiedy dobry ów człowiek, nie chcąc widocznie słyszeć moich opo-

wiadań o Radomiu, ryknął we mnie swem oburzeniem, co na kształt syreny z wytwórni masek gazowych ogłuszyło mnie i powaliło zupełnie. «Co to jest» ryczał starszy pan «co to się dzieje, jestem w Zakopanem trzeci dzień i nie widziałem nikogo nie z Radomia, czy to jest jakiś dowcip, czy młodzież nie szanuje moich siwych włosów? Czy ja taki śmieszny, żeby kpić ze mnie, cóż pan sobie myśli młokosie, jeden (mówił do mnie... ha!). Z Radomia, a jakże, z Radomia, widzieli go Radomiaka, hm i ten czarny też oczywiście z Radomia...

Wiedz, mój panie, że ja jestem Radomiak, ale tylko ja... a was wszystkich nie znam, smarkacze... Kpiny sobie robicie w całej Polsce z naszego pięknego miasta, a to w Zakopanem, gdy się zwiedzieli, żem ja Radomiak, to sobie ze mnie kpiny i pośmiewisko robią. Wynoś się stąd, mój paniczu, pókiś cały, bom tu nie poto przyszedł, aby słuchać głupich żartów ze mnie i z mego rodzinnego miasta. Czy pan wiesz, że Radom ma 80 tysięcy mieszkańców, że ma sławną kuchnię Wierzbickiego, równie sławną cukiernię «Udziałową,», którą i tak jeszcze otworzą, i zakłady garbarskie, które wprawdzie stoją, ale i tak są sławne. Czy pan wiesz, że w roku 1505..." Uciekłem by nie zapłakać gorzko nad nieszczęściem radomskiego pochodzenia... Uciekłem, nie zapłaciwszy za rachunek...

Zgnębiony wracałem, połykając gorzkie łzy upokorzenia, rozmyślając, jak to dziwnie to życie się układa, że akurat Radom w zimie jest w Zakopanem, i że górskie powietrze spokojnych radomskich synów przemienia w grzmiące bawoły. Uciekłem... Wróciwszy do Zakopanego, przysiągłem sobie, że już z nikim o Radomiu mówić nie będę, ani nikomu nie przyznam się, żem jest w Radomiu meldowany.

Wieczorem poszedłem do Trzaski. Rojno tam było i gwarno, pary kręciły się w miejscu, bo zbyt mały parkiet nie pozwalał na prawdziwy taniec. Siadłem cichutko, szczęśliwy, że tu nikogo z Radomia niema i, że nikt nie wie, skąd ja przyjechałem.

Obok przy stoliku siedziały dwie panienki, młodziutkie, ładniutkie, pewno uczennice. Jedna z nich tańczyła z jakimś groźnym narciarzem, skorzystałem więc z tego i poprosiłem drugą do tańca. Przedtem jeszcze zauważyłem, że mi się jakoś szczególnie przygląda. Zaczęliśmy tańczyć. Nie pytałem jej o nic, chcąc zachować swoje incognito. Naraz urocze dziewczę przerwało milczenie. «Ja to pana znam». Spotniałem, zna mnie. «A skąd» wybełkotałem cicho. Ona, jakby nie słysząc, mówiła dalej. «Panu jest na imię Adaś, przyjaźni się pan z Tadziem, mieszka pan na Moniuszki"!! „Boże! jestem zgubiony, ona jest z Radomia. Ostatkiem nadziei ułożyłem skołatane myśli w bezsensowne już pytanie: «A pani skąd przyjechała»? «Ja z Radomia, jestem na pensji, w klasie...» Świat zawirował pode mną. Zakopane, Radom, kościół Marjacki, wytwórnia, gim-

nazjum i dorożki radomskie, wszystko kręciło mi się w oczach, jak w jakimś djabelskim kołowrocie." Byłem skończony. Przeprosiwszy przerażone dziewczątko, potrącając stoliki, wypadłem z sali, wypiłem syfon wody sodowej w bufecie i płacząc w głos, uciekłem do swego pensjonatu ogłupiały, niemy, bezmyślny, nie starający się nawet zebrać myśli i zdać sobie sprawy ze strasznych moich przejść zakopiańskich.

Od tej pory nie odważyłem się wyjść nigdzie.

«Wiodłem żywot tak skromnie
Że mało kto wiedział o mnie».

Wreszcie przyjechałem do Radomia.

Adam Osuchowski.

Taniec, to trudna rzecz...

Jakoś to tak wypadło, że mieliśmy urządzić u siebie potańcówkę. Piszę «mieliśmy», bo organizacja leżała również w doświadczonych rączkach jakiejś tam mojej przyszytej siostry, którą zdobiło imię równie dzikie i nieokiełznane, jak i jego właścicielka. Zawsze wymawiałem je z dziwnym lękiem w duszy i z drżeniem łydek. Razem więc z Zunią (oj! to to jej imię) wystaraliśmy się o patefon, płyty, igły i o... (rzecz najgłówniejsza) o pożywienie. Miała być tańcująca kolacja. Wszystkich gości miało być 14 osób, jak uciął i na moje nieszczęście po siedmiu przedstawicieli płci obojga.

— A więc razem z nami będzie 16 osób (mruczała Zunia) 8 dziewczynek i 8 chło... oj prawda. tylko 7 chłopców! Mój Boże! Co to będzie?

To mnie zastanowiło i oburzyło do żywego.

— Prze... przepraszam cię, Zuziu! — wyjąkałem. A... a ja to pies?

— Co tam ty! Przecież nie tańczysz — powiedziała przeszywając mnie wzrokiem bazyliszka.

— Ojoj! To prawda! Co to będzie? jęknąłem zrozpaczony.

W tem moja towarzyszka klapnęła się ręką w czoło i ryczy.

— Mam pomysł! Słyszysz? Kręć i chodź do mnie!

— Do... dobrze — powiadam — a... a... ale co ja mam kręcić? Ciebie?

— Głupiś! Patefon nakręć i chodź do mnie. Naucze cię tańczyć.

— Co? Mnie tańczyć?! Bój się Boga Zuniu!! Ja i taniec!!

— Ty dużo nie gadaj, a chodź!

I cóż miałem robić. Męczyła mnie przeszło półtorej godziny i nauczyła, bez blagi. nauczyła mnie tanga (dwa kroki naprzód, raz podskoczyć; jeden w tyl — podskoczyć i t. d.)

foxtrota (tak jakbyś tangiem na pociąg leciał) i w końcu walca na dwa pas, ale tego to już na pamięć tańczyłem! bo trudno tu wykombinować jakiś przepis. Furda wszystko — grunt, że «umiałem» tańczyć i, że żadna panna nie będzie siedziała bezczynnie.

Zunia, moja kochana nauczycielka, (oby prababką została) na pierwszy dzwonek puściła mnie i sama poleciała zmienić pantofle, bo te były tak podeptane i zdeformowane, że łzy nachodziły do oczu na sam ich widok. Moje były w porządeczku, bo zawsze siedziały na wierzchu. Obciągnąłem marynarkę, zaczesałem włosy i z miną bardzo ważną (gospodarz) poszedłem otworzyć drzwi.

Coś w niespełna godzinę zeszła się cała «paka». Zabawę otworzył tradycyjny walczyk. Naprędce obraliśmy wodzireja, który rozdzierającym głosem krzyknął:

— Panowie proszą panie do walczyka!!!

Uf! — jęknąłem i czekam. Czekam co mi los przeznaczy. Została nareszcie jedna, więc ja do niej w te pędy i kłaniam się. Ta spojrzała na mnie tak ponuro, że aż mi dusza jęknęła ze strachu, i powiada.

— Czego chcesz?

— Jakto czego, oburzyłem się. Ciebie chcę do tańca! Bo ja już tańczę—pochwaliłem się.

Niebardzo widocznie dowierzając moim zdolnościom tancerza, ostrożnie i ze strasznie zrezygnowaną miną, położyła mi swoje ręce na barki. Jużem miał zrobić te dwa pas—czyli raz obrócić się, gdy wtem wodzirej się drze: „Kółeczko!!"

— Jak kółeczko — to kółeczko. Przyłączyliśmy się i my. Mimowoli spojrzałem na towarzyszkę i odniosłem wrażenie, jakgdyby kończyła modlitwę dziękczynną.

— ...Koszyczek! Panie do środeczka! Panie wybierają panów!

Nic widocznie nie przeczuwając, podchodzi do mnie jedna i... chce tańczyć. Raz się zakręciłem i dobrze, drugi raz — byczo, ale za trzecim razem wlazłem jej na nogę. Zaczerwieniłem się i zgoniłem winę na tłok. Po „Panie awansują o trzech tancerzy" dostała mi się Zunia. Ledwom się raz zakręcił, a ta mi syczy do ucha.

— A podepcz mi pantofle! Sam będziesz czyścił! Jakoś ten walc się skończył i nastąpiła chwila odpoczynku, po której puścili tango. W tem byłem pewniejszy. Bez namysłu poprosiłem damę z prawej ręki i powtarzając sobie w myśli (dwa kroki naprzód — podskoczyć; krok w tył—podskoczyć i t. d.) puściłem się w tany. Doszedłem już do środka sali i chcę iść dalej, gdy moja danserka powiada:

— Ależ panie Jurku! Dlaczego pan tylko chodzi? Prawda. Z wielkiego zdenerwowania zapomniałem podskakiwać. Chcąc

więc nadrobić—podskoczyłem dwa razy. I znowu: krok w tył —podskoczyłem, dwa kroki naprzód—podskoczyłem...

Gdy tak sobie podskakiwałem, moja danserka mówi z gryzącą ironją:

— Czemu pan tak podskakuje, panie Jurku?

— No bo Żunia powie... nie. To przecież to przecież tak jest w tangu.

— Pan umie tańczyć?—pyta znowu.

W gorączce, czy od urodzenia taka — pomyślałem i powiadam.

— No przecież tańczę z panią!

— To jest taniec? To jest bezmyślne podrygiwanie! Dziękuję panu i podziwiam jego bezczelność. Impertynent.

To powiedziawszy głosem donośnym i tak przeraźliwym, że wszystkie pary stanęły i zwróciły na nas oczy, i nawet patefon utknął i nie mógł się ruszyć, porzuciła mnie na środku sali i siadła na krześle.

Posłałem zabójcze spojrzenie Żuni (moralnej sprawczyni mej kompromitacji) i... też usiadłem pod ścianą, purpurowy ze wstydu, a fjoletowy ze złości, co się we mnie gotowała.

Lu-Ka. kl. VI.

Trochę prawdy

W związku z zamieszczoną w poprzednim numerze „Filarety" moją recenzją z pierwszego numeru „Myśli i czynu", w drugim numerze tego pisma ukazał się artykuł jednego z zainteresowanych autorów. Artykuł ten nosi tytuł: „O poziom umysłowy krytyki i krytyków". Ponieważ zgadzam się w zupełności, że krytyka powinna posiadać odpowiedni poziom i rozszerzając to zdanie, twierdzę, że przedewszystkiem wszelka dyskusja, czy polemika literacko-naukowa nie powinna wykraczać poza granice rzeczowości i... przyzwoitości, nie mam więc zamiaru prowadzić jej dalej w tonie zapoczątkowanym przez mojego przeciwnika.

Bo jeżeli krytyka moja była pisana tonem „dobrotliwego poklepywania po ramieniu" — (a to jest przecież dopuszczalne między ludźmi, którzy znają się dobrze), to artykuł kol. Kwiatkowskiego przekroczył znacznie granice koleżeńskiej poufałości i wstąpił na drogę wręcz niegrzecznych przycinków osobistych. Może lepiej byłoby odpowiedzieć złośliwością na złośliwość, jednakże robić tego nie chcę i nie będę.

Co do metody mojej pracy, to nie mam sobie nic do zarzucenia. Nie widzę nic złego w tem, że z artykułu naukowego wyjmuję okres, zawierający **pełną, skończoną myśl**, staram się tę myśl skrytykować. Wolno mi to robić właśnie dlatego, że jest to pełna, skończona myśl i niema wątpliwości, co do tego,

co autor chciał powiedzieć. Natomiast w żadnej pracy nie wolno interpretować kilku ad hoc wyjętych słów, które same dla siebie nic nie znaczą, a właściwej treści nabierają dopiero po przeczytaniu zdania do końca. Jest więc duża różnica między metodą mojej pracy, a trickami kol. Kwiatkowskiego, stosowanemi do wiersza p. t. „Bez głowy". To też o mowie wiązanej czyli o t. zw. „wierszykach sentymentalnych" nie mam zamiaru dyskutować z ludźmi, którzy utworów tego rodzaju nie rozumieją, lub zrozumieć nie chcą.

Chcę zająć się tylko tem, co pośrednio stanowi przedmiot naszego sporu. A więc czy odsiecz wiedeńska została podjęta przez Sobieskiego z ideologicznych pobudek chrześcijańskich, czy też chodziło przedewszystkiem o obronę własnego kraju.

Na wstępie przypomnę, że Kamieniec znajdował się w rękach Turcji. Turcy zajmowali również całą linję Karpat i gdyby Wiedeń został zdobyty, Polska byłaby opasana półkolem tureckiem, a to, rzecz zrozumiała, przedstawiało groźne niebezpieczeństwo dla całości państwa polskiego. Niebezpieczeństwo to rozumiano dobrze i bez wątpienia rozumiał je sam Jan III. Syn jego, królewicz Jakób pisze:

„Gdy szalona burza zawisła nad wszystkimi ludami Niemiec najbardziej zaś nad ich stolicą Wiedniem, **a i nam grozić poczęła ostateczną zgubą**, *podobało się królowi panu i rodzicowi memu najłaskawszemu poczynającemu w pomoc cesarzowi tak sławną wojnę, powołać mię do swego boku".*

(Jaśnie Oświeconego Królewskiego Księcia Polskiego Jakóba Sobieskiego Diarjusz oblężenia Wiednia, Serenissimi Jacobi Sobieski Principis Regii Poloniae diarium obsidionis Viennae. Autograf znajduje się w zbiorach książąt Czartoryskich w Krakowie). Oczywiście zdanie młodziutkiego Jakóba Sobieskiego, który podkreśla niebezpieczeństwo, zagrażające Polsce, może mieć znaczenie tylko o tyle, o ile idzie o odmalowanie nastroju, panującego wśród otoczenia, bliskiego królowi.

Zobaczmy, jakie są zdania historyków, co do pobudek kierujących Janem III przy podjęciu polityki filohabsburgskiej. Przedewszystkiem dużo ciekawych wiadomości można znaleźć w podręczniku historji na kl. VI (Czesław Nanke. Historja nowożytna' str. 185 § 189. Zasadniczy zwrot w polityce), podkreślam **na kl. VI,** powinno być znane, a jeśli nie—to warto przeczytać.

W Bibljotece im. Hempla w Radomiu jest wiele interesujących książek. Zajrzyjmy do jednej z nich: Tadeusz Korzon, Historja nowożytna, tom II, stronica. 219 *„cesarz szukał ratunku w przymierzu z królem polskim. Jan III okazał się bardzo przystępny takiemu żądaniu"*, bo *„już od połowy 1682 roku zmienił swą politykę,* **widząc niebezpieczeństwo dla Polski,** *gdy Turcy z Teokelym opanowali podkarpacką część Węgier, skąd*

we dwa dni mogliby dojść do Krakowa, a Ludwik XV ani swojej armji nie przysłałby na ratunek, ani nawet nie obiecywał."

Kazimierz Jarochowski: Wyprawa wiedeńska ze stanowiska interesu publicznego Polski, str. 57: *Turek... mimo ofiar przymierza, nie przestawał być nieprzyjacielem i najezdnikiem, siedział na ziemi Rzeczypospolitej, trzymał Kamieniec.*

Pozbyć się jego, znaczyło pozbyć się także nieprzyjaciela, **oddać Polsce usługę niepospolitej wagi,** *przywrócić jej soki, ze strony, z której go nigdy prawie nie miała.*"

Dalej Jarochowski stwierdza, że neutralność Polski w wojnie między Cesarstwem a Turcją, nie dawała żadnych korzyści, ale groziła tem, że: „*wrazie bardzo prawdopodobnego pogromu cesarstwa Niemieckiego... stawała się Porta otomańska panią Węgier, obramieniała Polskę szerokiem półkolem,* **mogła w każdej chwili zatknąć półksiężyc na Wawelu,** *jak go już miała zatkniętym w Kamieńcu*".

I dalej: „*...wobec danych rzeczywistości staje się udział Polski w wojnie* **politycznej koniecznością,** *wychodzi na akt* **politycznej mądrości,** *za którego spełnienie potomność polska ma wszelki powód być wdzięczną Sobieskiemu. Sam fakt wyprawy wiedeńskiej rehabilituje się świetnie* **ze stanowiska interesu politycznego polskiego,** *jak się już zrehabilitowała... sława* **politycznego** *rozumu i* **politycznego** *jasnowidzenia Jana III.*"

Podobnych poglądów i zdań możnaby zacytować znacznie więcej, ale zdaje się, że to już najzupełniej wystarcza do wykazania, gdzie leży prawda historyczna. Możnaby wprawdzie postawić zarzut, że znajdą się również zdania historyków przeciwne przytoczonym powyżej. Słusznie. Ale właśnie znajomość historji, jak zresztą wszelka wiedza, nie polega na bezmyślnem i bezkrytycznem powtarzaniu tu i owdzie usłyszanych frazesów, lecz na przyjmowaniu tylko tego, co jest treściwe i źródłowo umotywowane, co opiera się na jasnych, logicznych przesłankach.

Jeśliby chodziło o wyrobienie sobie własnego sądu, abstrahując zupełnie od tego, co na temat odsieczy wiedeńskiej zostało kiedykolwiek napisane, to należy dokładnie zbadać wydawnictwa źródłowe Krakowskiej Akademii Umiejętności, a mianowicie: „Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego" — Fr. Kluczycki, oraz dokumenty, pisane częściowo w języku polskim, częściowo we francuskim, zebrane w tece K. Waliszewskiego. Po dokładnem zbadaniu źródeł, każdy, kto umie myśleć logicznie i bez uprzedzeń, przyzna, że wśród pobudek, kierujących Janem III, pierwsze miejsce zajmowało pragnienie obrony własnego kraju i dokładne zrozumienie politycznego interesu Polski. A należy pamiętać, że rozumna, chłodna polityka dbała o interesy kraju jest najpierwszym obowiązkiem władcy i wszelkie odstępstwo od niej, nawet na rzecz celów wybitnie idealistycznych, **jest błędem nie do wybaczenia.**

Kiedy mniej więcej to samo pisałem w poprzednim numerze „Filarety," zarzucono mi nieznajomość historji, lub bluźnierstwo. Co do znajomości kwestyj, dotyczących odsieczy wiedeńskiej, starałem się wykazać, że stoję na wystarczająco mocnym gruncie, żeby móc o tem pisać. Ale pozostaje drugi zarzut— bluźnierstwo. Na tę śmieszną insynuację nie będę już odpowiadać, bo dowodzi ona, że u mojego przeciwnika nieznajomość historji łączy się z zupełną ignoracją zasadniczych kwestyj religijnych. Zapomina bowiem, że wyświetlanie faktów historycznych nie sprzeciwia się bynajmniej nauce Kościoła, natomiast zarówno wszelkie przekręcanie faktów nie jest zgodne z ósmem przykazaniem boskiem, jak i dewocja, oraz postępowanie według zasad moljerowskiego Świętoszka wcale nie zgadza się z etyką katolicką... A przedewszystkiem, kto niezbyt dobrze widzi, nie powinien zanadto pewnie mówić o kolorach.

Jan M. Rozgórski.

Bajka o ślepcu, który o kolorach prawił

Kol. T. Kwiatkowskiemu z gimn. im. dr. Tytusa Chałubińskiego bajkę tę wraz z tytułem poświęcam

AUTOR.

Dawno temu, wędrując przez góry i stepy,
Sprzeczało się dwu ludzi, z których jeden, ślepy,
Tłumaczył widzącemu kolorów odmiany.
Mówił, że ziemia biała, niebo jest zielone,
Ogień czarny, a liście wiosenne czerwone.
Na to rzekł mu widzący, słusznie zagniewany:
„Mów sobie, co zechcesz o kolorów stanie,
Białe białem, a czarne czarnem pozostanie".
Taka stara przypowieść; i w dzisiejszej porze
Znajdziesz ślepych, co często mówią o kolorze.

Adam Osuchowski.

Podziękowanie

Zarząd K. M. Filarecja składa serdeczne podziękowanie J. W. Paniom: Chądzyńskiej, Fidelusowej, Gerulewiczowej, Janowiczowej. Kotyńskiej, Olewińskiej, Piątkowej, Suligowskiej, Szwackiej i Swiatłowskiej za łaskawą obecność w bufecie, podczas zabawy dnia 3 lutego b. r.

Równocześnie Zarząd K. M. Filarecja składa podziękowania wszystkim innym Paniom, które zechciały zająć się naszą zabawą.

Zarząd K. M. Filarecja.

Redaktor naczelny **Jan M. Rozgórski kl. VIII.**

Opiekun pisma **Andrzej Dańczak.**

Drukarnia Polska w Radomiu Sp. z o. o.—Radom. Plac 3 Maja 2.

Poświęcenie sztandaru

Rota przysięgi

wygłoszonej w dniu 8.XII. 1933 na uroczystości poświęcenia sztandaru szkolnego.

Wdzięczni ojcom naszym i ich cieniom
Za Ojczyznę, przez krew wyzwoloną,
Prace nasze ich myśli wcielenion
Poświęcimy. My dzisiaj obroną
Naszych granic świętych pochłonięci
Życie nasze pod jasnym sztandarem
Wiernie, mężnie, dumnie i z honorem
Polsce damy. W polskości zaklęci,
Jedna nasza jest myśl i wołanie:
Ojczyzny wolność pobłogosław, Panie!

— — — — — — — — — — — — — —

Tak nam, Boże, dopomóż!

Tekst przysięgi ułożył
Adam Osuchowski, kl. VIII.





Nasz sztandar szkolny.



Poczet sztandarowy.

Od lewej stoją: J. OLEWIŃSKI — kl. VI, A. BIAŁOWĄS—kl. VIII, J. ROZGÓRSKI—kl. VIII.

Uroczystość poświęcenia sztandaru naszej szkoły

Dnia 8-go grudnia ubiegłego roku, odbyła się uroczystość poświęcenia sztandaru, na której wszyscy byli obecni. Opisując tę wielką i podniosłą chwilę, chciałbym, ażeby ona zawsze była drogowskazem dla nas, ażeby pamięć o niej zawsze wskazywała nam drogę prawdy, po której idąc, dojdziemy do jej najwyższego punktu, jakim jest niewątpliwie godne służenie Ojczyźnie.

Dnia 8-go grudnia zebraliśmy się w szkole rano, aby stąd wyruszyć na nabożeństwo do kościoła Najświętszej Marji Panny, gdzie też odbyło się poświęcenie sztandaru; mszę celebrował b. prefekt naszego gimnazjum ks. prałat Ekiert, który też poświęcił sztandar. Kazanie podczas mszy wygłosił ks. prefekt dr. Grelewski.

Z kościoła udaliśmy się do sali kina «Znicz».

Na rozpoczęcie uroczystości, które odbywały się w tej sali, orkiestra szkolna odegrała hymn Narodowy, wysłuchany w skupieniu przez obecnych. Następnie zabrał głos pan Dyrektor, przekazując nam w pięknych, wzruszających słowach sztandar, wraz z cennemi dla nas wskazówkami, według których przyrzekliśmy postępować. Na słowa pana Dyrektora, odpowiedział przysięgą kol. Rozgórski, w czasie przysięgi wszyscy powstali. Sztandar został wkrótce wniesiony na salę, gdzie rozpoczęło się wbijanie gwoździ przez rodziców chrzestnych i członków komitetu honorowego. Po wbiciu gwoździ pamiątkowych zabrał głos przewodniczący komitetu rodzicielskiego p. inż. Rogowski, którego nie mniej cenne wskazówki, musimy dołączyć do ojcowskich wskazówek pana Dyrektora. Głęboko do serca przyjęliśmy przypomnienie o tem, że jesteśmy w polskiej szkole, po polsku się uczymy, nie tak jak nasi dziadowie i pradziadowie.

Piękne połączenie z poprzedniem zdaniem stanowią odśpiewane przez nas słowa «Roty».

Wreszcie na zakończenie odbyło się wbijanie gwoździ przez rodziców.

W czasie uroczystości przygrywała jeszcze orkiestra szkolna, a sztandar nasz był przez cały czas otoczony sztandarami szkół średnich m. Radomia.

Wspomnienia z tej uroczystości winny wrość się w serca nasze i stać się twardemi, jak djament, którego nikt nie ukruszy i nie usunie.

Andrzej Piwowarczyk, kl. IV.
